

# Telepatia

Tekst: Marek Tomalik, fragment książki „Australia”

BYŁO SOBIE CIEPŁE POPOŁUDNIE W ŻŁOTO-RDZAWYCH BARWACH PRAWIE ZACHODZĄCEGO SŁOŃCA. JECHALIŚMY W OTCHŁAŃ PRZEPASTNEGO PUSTYNNNEGO OUTBACKU, O ILE DOBRZE PAMIĘTAM – NA TRASIE DO BURRINGURRAH (MOUNT AUGUSTUS). W ŚRODKU NICZEGO SPOTKALIŚMY RDZENNEGO, KTÓRY Z DAŁA OD JAKIEJKOLWIEK OSADY SPOKOJNIE SZEDŁ PRZED SIEBIE. NA TYM PUSTKOWIU BYŁ ZJAWISKIEM ZASKAKUJĄCYM NICZYM UFO. PYTALIŚMY, DOKĄD IDZIE. ODPOWIEDZIAŁ, ŻE NA WALKABOUT, RYTUALNĄ PIELGRZYMKĘ. PYTALIŚMY, CZY WIE, JAK DOŚĆ I CZY TĄ WIEDZĄ PODZIELI SIĘ Z NAMI. ODPOWIEDZIAŁ, ŻE TAM DALEKO CZEKAJĄ NA NIEGO, ŻE MYŚL-PIEŚŃ WYZNACZA TRASĘ, MAPA NIEPOTRZEBNA.

”  
*Myszę, że nie tylko ludzie w dalekiej Australii miewają takie przeczucia. Mamy je wszyscy, ale niechętnie o tym rozmawiamy.*  
 ”

W 2016 roku po bardzo długiej i wyczerpującej wyprawie zatrzymałem się na kilka dni w Sydney. Pod dach przyjął mnie Jack, od wielu lat mój bardzo dobry *mate*. Kiedyś pracował w zespole redakcyjnym „Australian Geographic”, świetny znawca peryferii Australii, podobnie do mnie uwielbiający zatapiać się w kosmologii rdzennych Australijczyków.

Kiedy zdradziłem, że zamierzam przewietrzyć zakurzone półki Biblioteki Stanowej Nowej Południowej Walii, zaoferował pomoc. Bez jego karty biblioteczej buszować w przepastnych archiwach najpiękniejszej biblioteki, jaką kiedykolwiek odwiedziłem, byłoby naprawdę ciężko. Postanowiłem sięgnąć po książki starsze, w nadziei, że w tym „spekulatywnym” temacie będzie więcej szczeroci, która dawniej – mniemam – była bardziej powszechna niż teraz. Drugi powód sięgnięcia po stare książki był bardziej pragmatyczny. Ludzie z cywilizacyjnym upływem czasu tracą telepatyczne umiejętności, zacierają je, więc tamte źródła sprzed 70 lat wydają się bardziej użyteczne.

Trafiłem na książkę „Living Magic” Ronalda Rose’a (Rand-McNally 1956). Autor podaje przykłady widzeń zdalnych. Pisze między innymi o hospitalizowanym Billiem Combo z plemienia Gidabul, który kilka dni po opuszczeniu szpitala zmarł na atak serca. Jednak jego współbratymcy z Woodenbong, maleńkiej wioski w Nowej Południowej Walii, zaledwie 10 km na południe od granicy z Queenslandem, wiedzieli o jego śmierci, zanim mogła tam dotrzeć jakakolwiek wiadomość o tym przykrym zdarzeniu. Walter Page, Aborygen o nadprzeciętnej inteligencji, miał to objaśnić tak:

*„Miałem nieparte przeczucie, że Billie Combo zmarł. Byłem na farmie i nagle poczułem bardzo silny wpływ, coś w rodzaju mentalnej chmury, która zawaładła moim umysłem, poczułem się bardzo przygnębiony”.*

Billy był kuzynem Waltera, ale totemicznie nie byli spokrewnieni. Myszę, że nie tylko ludzie w dalekiej Australii miewają takie przeczucia. Mamy je wszyscy, ale niechętnie o tym rozmawiamy. Tym się różnimy od rdzennych Australijczyków, którzy mówią o tym głośno, dając niejako przyzwolenie energiom uznanym przez wielu za nadnaturalne.

Półkrwi Rene miała tak skomentować to wydarzenie:

*„Wielkie smutki nie omijają mnie, schodzą na mnie. Nie mogę wtedy pracować. Leżę i myślę, przygnieciona przeczuciami. Nie ominęły mnie dnia, w którym zmarł Billy. Wiedziałam, że ktoś z naszych odszedł. To było uczucie przepojone śmiercią. Wszyscy ludzie u nas tak czują. Choć dawniej było to jeszcze bardziej wyraziste”.*

W książce „The Australian Aborigines” prof. A.P. Elkin (Angus and Robertson Ltd., Sydney and London 1954) próbuje dowiedzieć, że rdzenni Australijczycy posiadają moc poznania tego, co się dzieje w znacznej odległości, daleko poza barierą widzenia oczu, słyszenia uszu, nawet setki i tysiące kilometrów dalej. Aborygen w pracy przy stadach w dalekim Outbacku może odbierać informacje o śmierci najbliższych, o narodzinach dziecka czy o problemach w swoich rodzinnych stronach. Otrzymane zdalnie informacje mają tak dużą moc, że ludzie pod ich wpływem wracają nagle do swych stron i to jest dla nich normalne.

Wydaje się, że to właśnie w sytuacjach kryzysowych przepływy energii pomiędzy osobami połączonymi silnymi relacjami emocjonalnymi są najbardziej czytelne. Gdy więzi są słabsze, mogą wywoływać mniej jasne lub nawet całkiem niejasne przeczucia, niemniej energie manifestują się, trzeba tylko się w nie wsłuchać. Mogą być utożsamione ze słyszeniem głosu niewidzialnej osoby, pojawić się w snach, ale o takiej intensywności, jakby były ciałem, nie tylko duchem. W fizyce kwantowej to zresztą bez różnicy, bo energia jest materią, a materia energią. Ich dualizm został już dawno i wielokrotnie eksperymentalnie i matematycznie potwierdzony.

Ronald Rose we wspomnianej wcześniej książce próbuje dowiedzieć, że bardziej rdzenni plemiennie Aborygeni mają większe telepatyczne możliwości. Bardziej rdzenni, w moim rozumieniu, to ci mocniej zanurzeni w swojej tradycji, kosmologii, w stałym kontakcie z przodkami, także z Przodkami totemicznymi, których istnienie niestety wymyka się naszemu rozumieniu świata.

U silnie rdzennych Aborygenów totem jest równie prawdziwy jak żywy człowiek. Przede wszystkim może mówić, choć ukryty jest pod postacią np. kruka. I rdzenni mogą go słyszeć, nawet



w gwary dzień, a kiedy pojawia się problem ze zrozumieniem treści, najlepiej przenieść się w ustronne miejsce, na przykład do łóżka, i nastawić swój „odbiornik” na fale Przodka Kruka.

To nie muszą być jednoznaczne treści, jak np. w przekazie telewizyjnym, lecz pewne, wcześniej wspomniane, uczucia – smutku, przygnębienia lub radości.

W jednym z opisywanych przypadków Przodek Kruk przyniósł rdzennemu wieści o nagłej chorobie i rychłej śmierci – następnego dnia – żony. Takie interwencyjne działanie totemicznego Przodka zachodzi jedynie przy odpowiednim „dostrojeniu odbiornika” i może mieć miejsce jedynie u tych, którzy pozostają w silnej więzi z tradycją sięgającą na ziemi australijskiej kilkudziesięciu tysięcy lat. Wydaje mi się, a nawet przekonany jestem, że ten wielogeneracyjny korzeń ma tu zasadnicze znaczenie,

podobnie jak fakt, że ta linia istniała nieprzerwanie, była tylko naturalnie modyfikowana, przynajmniej do przybycia białego człowieka w XVIII wieku. Innymi słowy: Przodek totemiczny może działać jak coś w rodzaju radia, ale takiego, które nadaje tylko do tych, którzy pozostają pod jego opieką. Nie będzie chyba nadużyciem, jeśli porównam Przodka totemicznego do bardziej nam znajomego anioła stróża, który w bliższych nam stronach nie przybiera postaci zwierzęcej, a jawi się według naszej tradycji w uskrzydłonej formie ludzkiej, przynajmniej na wizerunkach.

Przodka totemicznego można nie tylko wysłuchać, można dzięki niemu także, a może przede wszystkim, nadawać. Jeśli jeszcze mocniej uprościć rozumienie zjawiska, to takie walkie-talkie dla wtajemniczonych. Co więcej, ci najbardziej wtajemniczeni i najbardziej inteligentni zdają się rozumieć psychologiczne dzia-

łanie medium, które oparte jest nie tyle na realnym ptaku, kruk, ile na jego manifestacji w umyśle. To może być np. kogut, który pojawia się w podwórkowym stadzie drobiu, ale jest widoczny tylko dla tego, komu niesie wiadomość, czyli manifestuje się tylko jemu.

Oczywiście z punktu widzenia szkiełka i oka to wszystko wydaje się niedorzeczne, niemniej silnie rdzenni Aborygeni sytuacji potwierdzających takie „cuda” mogą przytaczać na pęczki, także w obecności białych, którzy z niedowierzaniem potwierdzają takie relacje. I zdarza się, że inni, niewtajemniczeni, też widzą emanację Przodka Koguta i jest on dla nich stworem jak najbardziej realnym, choć oczywiście nie zdają sobie sprawy, że to Przodek totemiczny, bo nie są do niego „podłączeni”.

Inna z zasłyszanych historii opowiada, jak starsze małżeństwo rdzennych siedziało wieczorem na werandzie, wpatrując się w zachodzące słońce. Nagle ujrzeli siewkę. Dla mężczyzny to była Siewka, bo znał ten totem. Oboje poczuli, że coś się wydarzyło, że to jakiś znak, i odczytali, że dotyczy on wujka nad morzem, bo to także jego totem. Nazajutrz telefon potwierdził jego śmierć, która miała miejsce dokładnie w czasie, kiedy Siewka latała na niebie odległym od domu wujka o prawie 200 kilometrów. Obie osoby, które widziały Siewkę, przyznały, że bardzo mocno przekonane są, że nie był to realny ptak, że to była iluzja.

”  
*Oczywiście z punktu widzenia szkiełka i oka to wszystko wydaje się niedorzeczne, niemniej silnie rdzenni Aborygeni sytuacji potwierdzających takie „cuda” mogą przytaczać na pęczki, także w obecności białych, którzy z niedowierzaniem potwierdzają takie relacje.*  
 ”

I tu pojawia się różnica w interpretacji, bowiem rdzenni bardziej oswojeni cywilizacyjnie, dla których kosmologia staje się z dnia na dzień coraz bardziej rozwodniona, chcą widzieć i de facto widzą nie iluzję, lecz ptaka rzeczywistego. Liczne spisane obserwacje potwierdzają takie sytuacje.

Jedna z nich opowiada o Kurce Wodnej obserwowanej gdzieś na niebie Nowej Południowej Walii przez jeszcze innych rdzennych. Ten, kto ją ujrział, miał rzec: „Ktoś z moich krewnych w Tabulam jest chory albo któryś z krewnych przyjdzie jutro odwiedzić mnie”. Następnego dnia pojawił się brat „wizjonera” będący w trakcie rytualnej pielgrzymki, którą w tamtych stronach nazywa się *walkebout*.

Aby próbować to wszystko zrozumieć, trzeba podejść do tego z otwartym umysłem. Niewidoczne dla oczu wcale nie oznacza, że tego w zasięgu wzroku nie ma, i odwrotnie – jeśli coś widzimy, nie znaczy, że to jest. Podczas gdy jedni będą upatrywać w tym jedynie pola do spekulacji, inni się nad tym pochylą i zastanowią. Pisząc te słowa, pozostaję wśród tych drugich.

Objawienia mają postać totemiczną lub są z totemami powiązane. Jeszcze inna historia niesie opowieść o gwałtownym, niespodziewanym uderzeniu w dach budynku wieczorem, gdy siły natury były spokojne. Następnym był sen domownika, a po nim, nad ranem, na jawie – postać jego siostry jak żywa. Ale ona kilka kilometrów dalej była już od nocy nieżywa.

Totem jest pośrednikiem dla informacji, najwyraźniej zdobytych telepatycznie, dlatego rdzenni, którzy zostali przez chrześcijaństwo „odmienieni”, podobnie widzą rolę aniołów. Innymi słowy: anioły są naszymi totemami.

Jeszcze inna historia opowiada o hospitalizowanej Aborygence, na którą lekarze wydali wyrok śmierci, a rodzina obecna przy łóżku miała tę wieść jej przekazać. Ta, pogodzona z losem, zasnęła. Wtedy pojawił się anioł, który rzekł do niej, że nie powinna się martwić, bo nie umrze, lecz wydobrzeje...

Marzenia senne w wielu kulturach, także po części w naszej, utożsamiane są z wglądem w przyszłość. Oczywiście są i tacy, którzy wierzą, że sny się nie spełniają, zwłaszcza jeśli pojawi się tam coś złego, coś, czego nie chcemy... I oczywiście są spece, którzy „potrafią” odsiać znaczenie marzeń sennych, niezbitnie wierząc, że posiadli jedyną i właściwą interpretację snu.



Dla Aborygenów sny są niezwykle ważne, ale największą wartość mają te najlepiej zapamiętane, czyste w szczegółach, najmniej zniekształcone. Te właśnie niosą wieści prawdziwe, które warto umieć czytać. Na przykład sny z wodą w tle wieszczą nieszczęście, przynoszą złe wieści. Aborygeni są znacznie lepiej dostrzeżeni do bardziej subtelnych treści dotyczących życia i śmierci. Posiadają te zdolności jako dziedzictwo społeczne, niejako we krwi, rozumiane przez wielu jako daleko posunięty mistycyzm. Z tą różnicą do nas samych, że oni ich nie poszukują, po prostu je mają. Nasza cywilizacja musi wszystko rozumieć, wyjaśniać, rdzennym wystarczy, że czują, i to jest źródło ich wiedzy. My łapiemy się tego w sytuacjach silnie kryzysowych, wtedy zaczynamy czuć, oni czują wyczuwają też mniej absorbujące sytuacje. Im bardziej rdzenność się cywilizuje, tym intensywność wyczuwania maleje, tępieje. A to jest zwierciadłem życia, które może być płytkie, czyli byle jakie, lub głębokie, bogate, czyli fantasmagoryczne. Wadą naszego stylu życia jest to, że przyjmuje on zbyt łatwo, że jest lepszy i ostrzejszy w każdym aspekcie doświadczenia. Wydaje mi się, że istnieją spore obszary doświadczenia, gdzie jesteśmy bardzo ubodzy w zrozumienie zjawisk nas otaczających. Dotyczy to zjawisk nieuchwytnych lub mniej uchwytnych, czyli dla oka, nauki akademickiej niewidzialnych.

Rdzenni Australijczycy posiadający bardzo twarde i zwarty system kosmologiczny, potrafią się kontaktować na odległość setek czy tysięcy kilometrów bez użycia telefonu. To umiejętność wrodzona. Udokumentowanych doświadczeń tego typu jest sporo. Jedną z takich sytuacji miała miejsce kilkadziesiąt lat temu, kiedy z wnętrza pustyni Tanami została wysłana wiadomość treści: „Kill'em dead feller” (zabito człowieka). Odbiorcą był inny rdzenny, który poinformował posterunek policji. Wiadomość nie szła po kablu telegrafu, a telefonów komórkowych czy satelitarnych wtedy jeszcze nie było. Poszła telepatycznie. Okazało się, że nie do końca jest prawdziwa, bo kilka dni później patrol sprawdził, że owszem, miała miejsce potyczka, ale człowiek żyje, choć został poważnie ranny. Historię opisuje Michael Terry w książce „War of the Warramulas” (Rigby, Adelaide 1974).

Pytani o to, jak to robią, nie potrafią wyjaśnić, nawet gdyby chcieli. To się dzieje automatycznie, jak poruszanie nóg przy chodzeniu. I używają telepatii dość często, podobnie jak my telefo-

nów. Pytani przez Terry'ego o treści wieści, najczęściej wymieniają pogodę, ważne wydarzenia czy klanowe spotkania.

Usłyszałem kiedyś opowiadanie o myśliwych, którzy upolowali kangura, ale ten był do transportu przez dwóch za duży. Wysłali wiadomość, co począć z tym nadmiarem szczęścia, i otrzymali odpowiedź: poczekać, posiłki, znaczy ludzie, są w drodze do was.

Kiedyś zainicjowaniu telepatycznego połączenia służyły sygnały dymne. Oczywiście to działało w zasięgu wzroku. Taki sygnał był jednoznaczny z informacją, że szykuje się przekaz bardziej subtelny. Drugi rodzaj przekazu telepatycznego to transfer bezpośredni, tutaj inicjację połączenia powoduje wysłana myśl. Przy małomówności Aborygenów to właśnie ta pierwotna inicjacja stanowi największy problem. „Nadajnik” musi zlokalizować w umyśle/przestrzeni/polu „odbiornik”. I nie jest tu konieczna bezpośrednia wcześniejsza znajomość „nadajnika” z „odbiornikiem”. Można zatem bezpośrednio „zadzzwonić” do nieznajomych, ale trzeba ich sobie jakoś zwizualizować, to znaczy „znaleźć w książce telefonicznej ich numer”.

Chcielibyśmy taką umiejętność, siłę mieć, nieprawdaż? Nic tego, tylko nieliczni o specjalnych skłonnościach mogą doświadczyć tego, co rdzenni prawdziwie mają i mieli na co dzień. Nasz system erodował, pozbawiony jest esencji, brakuje nam holistycznego rozumienia świata i życia w bezpośredniej relacji z naturą, czyli ze wszystkim, co ożywione i nieożywione (ale niekoniecznie przez człowieka stworzone). Ponadto zatruci jesteśmy kłamstwem, oszustwem, złymi intencjami, nieszczerością, każdy z nas skrywa coś przed innymi. Niestety przy takich zanieczyszczeniach telepatia nie zadziała. W dodatku nie posiadamy umiejętności skupienia, silnej koncentracji. To dlatego rdzenni Australijczycy są tak małomówni. Rozmowy rozpraszają umysł, rozrzedzają skupienie, silne skupienie. Milczenie w towarzystwie rdzennych jest cenniejsze niż próba nawiązania rozmowy. Lubię z nimi pomilczeć.

No to jeszcze taka historia... Gdy opuszczałem Sydney w 2016 roku, wiedziałem już, że pewna książka jest, i wiedziałem, że chcę ją przeczytać. W ten ostatni przed wylotem dzień odwiedziłem z Jackiem z dziesięć księgarni, ale nie udało mi się jej namierzyć. Miesiąc później przyszła pocztą z Ameryki, bo tam została pierwotnie wydana. „Secrets of Aboriginal Healing” niesie historię, którą sceptyk bardzo łatwo będzie mógł sprofanować. Rzecz się zaczyna

w Stanach, gdzie żyje i mieszka pewien inżynier, Gary Holz. W życiu zawodowym i rodzinnym odnosi spory sukces, ale przychodzi ten dzień, który przynosi chorobę, a wraz z nią udrękę i rozpaczliwą walkę o życie. Wyrok ma na imię stwardnienie rozsiane. Jego dość wczesnym skutkiem jest utrata władzy w nogach i wózek inwalidzki. Pewnego dnia zdruzgotany Gary trafia do pubu na koncert jazzowy. Tam wpada w oko pewnej kobiecie, która rozpoznając jego stan, wkręca go w rozmowę, w czasie której przypomina sobie o Aborygenie, który leczy takie beznadziejne przypadki. Sceptycyzm inżyniera, który musi wszystko objaśnić rozumem, słabnie, bo tli się płomyk nadziei – i nawet jeśli jest z krainy snów, to chwilę można się przy nim ogrzać. Kobieta zostawia numer telefonu do Aborygena, a Gary następnego dnia dzwoni. Po drugiej stronie słyszy, że wszystko się zgadza, a jeśli terapia ma pomóc, trzeba szybko działać. Nie pojawia się temat kosztów. Gary postanawia w to brnąć i choć cała rodzina i wszyscy znajomi próbują mu to wybić z głowy, kupuje bilet i leci na drugi koniec świata, do Brisbane w Australii. Sam, na wózek inwalidzki, bo nikt mu nie chce towarzyszyć. Po nocy spędzonej w wygodnym hotelu Aborygen zabiera go zdezelowaną terenówką w Outback. Do izolowanej wioski aborygeńskiej. Gary nie jest typem podróżnika, ale intuicyjnie zdaje się na los. To wbrew jego naturze inżyniera, ale być może skalkulował sobie, że nie ma wyboru. Przez kilka dni dostaje skromne posiłki i miejsce pod dachem w ruderze z blachy falistej. Twarde jak kamień łóżko jeszcze bardziej prostuje myśli. Trzeciego dnia zostaje doprowadzony do uzdrowicielki, która doskonale rozumie wątpliwości Gary'ego. Rozumie, bo umie poruszać się w dwóch równoległych światach – tym aborygeńskim – Dream Time, i tym zachodnim, cywilizacyjno-akademickim. Skończyła uniwersytet. Kolejne dni mijają na rozmowach, na wysnuwaniu przez Gary'ego swoich ścieżek życia. Po jakimś czasie zostaje zdiagnozowany powód choroby. Jest nim niechęć – na granicy nienawiści – do ojca, który na to rzekomo zasłużył. Ojciec przez dekady stosował przemoc wobec domowników. Po diagnozie czas na leczenie. Terapeutka przekonuje Gary'ego, że musi pokochać ojca. Terapia trwa trzy kolejne tygodnie i nie kończy się wstaniem z wózka. Niemniej Gary czuje się gotowy do powrotu i chce za terapię płacić.

I tutaj wracamy do telepatii.

Terapeutka mówi, że ona i starszyzna nie chcą od niego pieniędzy. Ale czegoś chcą. Tłumaczą Gary'emu, że wiedzieli, iż przyjedzie, i czekali na niego, zanim on wyjechał z Ameryki. Jest zdumiony, ale jego inżynierski umysł zdążył przejść w czasie terapii transformację, toteż próbuje ogarnąć „rachunek”.

– To nic takiego, jak wrócisz, będziesz robił to co my, będziesz uzdrawiał – oznajmia terapeutka.

Inżynier biznesmen wraca, staje na nogi, zakłada placówkę i zaczyna leczyć. Do poprzedniego biznesu nie wraca. Taka historia jak z krainy baśni tysiąca i jednej nocy.

Teraz coś z mojej „telepatii”. Pierwszy mój wypad do Parku Narodowego Litchfield, który przez lata omijałem, naiwnie twierdząc, że 40 km od stolicy Terytorium Północnego nie może być nic wartego mojej uwagi. Musiałem to odszczekać przed sobą, i to bardzo głośno, a nawet zawyc jak wilk do księżycy. Dzikość i surowość po uszy, czyli to, co lubię w podróżach po Australii najbardziej. Noc ciepła, spaliśmy na dachu nissana patrola snem sprawiedliwych przykryci lekkim śpiworem. Gdzieś około pierwszej coś mnie gwałtownie obudziło, otworzyłem oko i w sekundzie złapałem bardzo silne przecucie.

– Zmiana planów na tę noc, ściągamy graty z dachu i pakujemy się do środka. Za godzinę spadnie ulewny deszcz – oznajmiłem spokojnie i zacząłem związać rzeczy.

– Zwariowałeś, jest piękna, gwiazdzista, bezchmurna noc, śpijmy tu dalej, spokojnie – oponowała moja towarzysząca. Ale poddała się i zeszła do środka auta. Pół godziny później świsnął wiatr i spadła rześista ulewa. Ona popatrzyła na mnie z podejrzliwym zdumieniem.

– Skąd wiedziałeś?

– Nie wiedziałem, ktoś mi przyszedł powiedzieć – odparłem, sam osłupiał. Wtedy utożsamiałem to buńczucznie z więzią z naturą, bo to był już szósty tydzień w dzikości. Dziś tak jednoznacznie bym tego nie ocenił.

To się pewnie powtórzyło co najmniej parę razy, ale zapamiętałem tylko jeszcze jeden. Na wpółdzikim kempingu Wharncliffe Mill Bush Retreat w Parku Narodowym Bramley pod Margaret River w Australii Zachodniej. Było zimno, noc według prognoz kroila się deszczowo. To, że ja w swago, odpowiedniku jednoosobowego namiotu w naszym rozumieniu, miałem zmoknąć, to było jeszcze nic w porównaniu do przyczepy kempingowej, w której spała moja załoga. Nie szło o to, że deszcz pokona impregnat brezentowej tkaniny, ale o to, że rano wszystko mokre trzeba będzie związać. W kolejny dzień trzeba było pokonać 500 kilometrów w słońcu, które nie wysuszy, tylko spowoduje butwienie. A temu będzie towarzyszyć nieprzyjemny zapaszek, który będzie zalegał w przyczepie na kolejnym biwaku. Chciałem więc zapobiec temu, zatrzymać deszcz. Postanowiłem się z tym zmierzyć. Pół nocy mantrowałem w umyśle, próbując odgonić chmury. Wydawało mi się, że jak lekko przysypiam, to deszcz jednak nadciąga, więc zaczynałem od początku. Nie chciałem na to patrzeć, sprawdzać, całą noc nie wyściubiłem nosa ze swago. Wydawało mi się przez całe to czuwanie, że słyszę wiatr i padające krople, a mimo to się zawziętałem i deszcz „odganiałem”. Nad ranem z trudem, niedospiany pobierałem kości i poszedłem obejrzeć przyczepę. Była niemal sucha. Nie mogłem ukryć radosnego zdziwienia, ale nie podzieliłem się tym osiągnięciem.

Oczywiście to żadna rewelacja, może to nawet naginanie rzeczywistości. Niemniej tam, w Australii, szczególnie w prastarym pustynnym Outbacku, wibracje „innego” są naprawdę silne. Odczuwa je niemal każdy, choć każdy na swój sposób. Wielu z uczestników moich wypraw odczuwa po prostu przyjazną błogość, utożsamiając ją z siłą przeżytych wrażeń.

Sceptyków odsyłam do książek Russela Targa i Harolda E. Puthoffa „Mind Reach. Scientific Look At Psychic Abilities” czy „Limitless Mind”. Prace dokumentują wieloletnie badania akademickie w Instytucie Badań Stanforda, który do dziś pozostaje jednym z najbardziej znanych na świecie ośrodków naukowych na wielu polach. Serie badań tych autorów dały niepodważalne dziś twierdzenia m.in. na temat tzw. zdalnego widzenia (remote viewing).



Artykuł jest fragmentem najnowszej książki Marka Tomalika pt. „Australia”